ROK I.

№ 49.

WARSZAWA.
26 Listop. (8 Grudn.)
1866 roku.



PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 Złp. 12.	Rocznie . . rs. 2 k. 44 Złp. 16 g. 8.	Rocznie z kopertą rs. 4 k. 44 Złp. 29 g. 18.
Półrocznie „ „ 90 Złp. 6.	Półrocznie „ 1 „ 22 Złp. 8 „ 4.	Rocznie bez koperty rs. 2 k. 22 Złp. 14 g. 24.
Kwartalnie „ „ 45 Złp. 3.	Kwartalnie „ „ 61 Złp. 4 „ 2.	Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można **Zorzę**: w Warszawie w Redakcyi Nr. 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni Ig. Krokoszyńskiego p. ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 338, i we wszystkich kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych

Treść: Od Redakcji— Walek (powias.), Sierotka (wiersz).—Wyjątek z podróży po obc. kraj. Rady Gospodar. Różne Różności. Zagadki.

Od Redakcyi.

W r. 1867 „*Zorza*“ przy zmianie winiety i użyciu w miarę potrzeby, drzeworytów, wychodzić będzie pod temi samemi warunkami jak dotąd. Prócz dalszego rozwijania uprzystępnianych Nauk Przyrodzonych, a głównie wiadomości i dorad tyczących się Gospodarstwa, Rzemiosł, Przemysłu i Zdrowia, przeplatanych Powiastkami, krótkiemi Poezjami, ciekawościami z Podróży, ważniejszemi Nowinami i Zagadkami, redakcja dla łączenia pożytku z rozrywką, umieszczać będzie w każdym numerze pisma swego krótkie, humorystyczne (zabawne) opowiadania ze stałym obrazkiem. Redakcja nie wątpi, że i nadal trudne jej usiłowania doznają poparcia światłych Osób, wyższych nad obojętność ku tego rodzaju podjętej pracy, i oceniających sercem myśl tę: *że dzielić się nauką z potrzebującymi jej barćmi, jest tak samo po chrześcijańsku, jak nagiego przyodziać, lub zgłodniałego nakarmić.*— Cena „Zorzy“: w Warszawie ***kop. 15 miesięcznie;*** na prowincji i w Cesarstwie bez koperty kop. 61 kwartalnie; za tęż samą cenę można „Zorzę“ otrzymać w kopercie innego pisma. Za oddzielną kopertę dopłaca się 50 kop. kwartalnie. Wypisywać można „Zorzę“ na wszystkich stacjach pocztowych, oraz w księgarniach krajowych i zagranicznych, lub za zgłoszeniem się do redakcji listownem pod Nr. 1582 lit. d., Aleja Jerozolimska w Warszawie.

WALEK MALEC.

POWIASTKA.

I.

We wsi Huszcza, w Podlaskiem, zdawien dawna, w dostatku, spokoju, kochany od ludzi, strzeżony od Boga mieszkał Wincenty Chutyło. Chudoby było dosyć, na zagonie pleniło, w stodole zawsze znalazłeś sporo ziarna. Walek ochotnie z każdym dzielił się darem bożym, miał też ogólne poważanie. *Sąsiedzka przyjaźń najsłabsza*, boć to powiadają że *u innych ludzi widzi się dźbło w oku, a u siebie i belki nie obaczy*. Tu przecież Chutyło nie dopuścił nigdy żadnych swarów, owszem starał się, gdzie można, zejść z drogi chodźby ze szkodą własną. Dziwnem jakiemś zdarzeniem, jakby je *złe* nasłało, przybłąkał się do wsi oberwus pijaczyna, niejaki Walek Malec. Z twarzy wyglądała mu przebiegłość, włosy kręcone świadczyły o filuteryi, a już cała postawa jakaś była wygięta, pochyła, jak to zwykle u ludzi, co się płaszczą, chyłkiem chodzą w życiu. Kim był, zkąd przychodził, nikt nie wiedział: jednakże niektórzy utrzymywali, że Walek musiał sługiwać po dworach albo też gdzieś szlifował bruki w wielkiem mieście, gdyż inaczej, jakoś z pańska mówił, a nad miarę do kieliszka zaglądał.

Raz w Niedzielę, po mszy świętej i po kazaniu, ludowina zaległa karczmę na rozstaju i Walek też znalazł się między niemi. Zazwyczaj obcy kolnie w oczy każdego, —przyglądali się też z pod oka nieznajomemu włóczędze i Malec nie, bardzo się gniewał, bo jako człek obrotny wnet znalazł sposobność zaprowadzenia rozmowy.

— Cóż się tak przyglądacie? rzekł do pierwszego lepszego, nie widzieliście ludzi?

— E! bo *wason* coś nie tutejszy? odrzekł kmieć. — Juści nie z boru, ale z miasta, z Warszawy. Na ten wyraz wszyscy odrazu zwrócili nań uwagę, — Tak, z Warszawy, mówił dalćj włóczęga. Czy wy wiecie, co Warszawa? Każdy dom to tak jak u was kościół, ulice jak trakt do Białej, szerokie piękne — a ludzi więcéj jak na odpuście w Lesznie. — O! O! rzekł stary gospodarz, gadacie niby sroka, — skądżeby tylu się wzięło. Wiem ci ja, że tam dużo panów, pięknych domów i ładniéj tysiąc razy jak u nas; nie jest przecież znowu nic tak *dziwnego*.

— Baj! Baj! Durz ty siebie nie mnie, kiedy mówię, że tak, to tak. Jeszcześ dobrze gęsi pasł, kiedym ja już był człowiekiem.

— A cóżeście tam robili, mój człowieku? zawołali chłopi. — Pisałem prośby biednym ludziom. To mówiąc wstał, osadził się mocno na nogach i podniósł głowę, mierząc wszystkich wytrzeszczonemi oczami. — To wy niby jak nasz wójt? co? — Więcej jak wójt, bo do takich jak wójt nigdybym prośby nie pisał. Wójt? Ja, mój dryblasie stary, znam naczelników, prezesów, radców!!

— O, dla Boga, zakrzyknęli chłopi Skupiwszy się tedy w gromadę, zaczęli gwarzyć cichaczem, kiedy niekiedy wydobył się wykrzyk głośniśjszy: *Ej! pewnikiem to nowy sołtys albo może i pisarz od gminnego.* Cichaczem więc zaczęli wynosić się z karczmy.

II

— Co ty mi bańdurzysz! E! majster, widziszno go, — tobie się zdaje, że kogoś wysadzić z chaty i z pola, tak łatwo jak wyrzucić kota zo płot. Nie przeczę, że potrafie zrobić należycie wszystko, ale *bratku*, bez pieniędzy ani drgnę.

Taką prowadził rozmowę *Malec*, zaznajomiwszy się dobrze z sąsiadem Chutyły. Prebenda, zapominając przyjaźni sąsiedzkiéj, upatrzył sobie ni z tego ni z owego pretensyje do ogrodu Chutyły i temu wydrzéć go postanowił. Walek był frant nad franty i umiał badać ludzi, ryć w sercach, jak kret w ziemi; a co zamierzył, choćby pęknąć, musiał dokonać. Niech go tam! powiadają, że większe miłosierdzie Boże jak złość ludzka. — Tak, pieniędzy braciszku, naprzód pieniędzy. —

— Przecie dałem trzy ruble; rzekł pokornie Prebenda. — Wiesz dobrze, że ludziom musiałem kupić wódki, zyskać świadków — przerobić niewiernych, a ja darmo gębą robić będę? zawołał Malec.

Prebenda, poskrobał się po głowie, zakasał poły, i z kieszeni wyciągnął woreczek, — wyjąwszy papierek pięciorublowy, oddał go Malcowi. Zaiskrzyły się oczy Walka, żałował gospodarza i rzekł.

— Jak powiedziałem, trzeba płot wyłamać od rzeki i puścić trzodę chlewną, niech *bonują*; wszak na własnym gruncie wszystko wolno.

— Zmiłujcie się, cóż powie Chutyło, toż mu wszystek rzepak poniszczą?

— Rób, jak mówię, kiedy nie rozumiesz.

— Bo widzicie sumienie.... — Głupiś! — ogród — twój, bo wyraźnie znać, że w tem miejscu dawniej stała stodoła; widziałeś dobrze te pale, co sterczą przy końcu ogrodu.

— Juścić sterczą, ale one z dawnego *foluszu*, co stał nad strugą. — Tem lepiéj, będziemy upominać się o *folusz*! — E! moi kochani, niby Chutyło dziecko, żeby jak kto powie, oddaj mi ogród, oddał go zaraz.

— Głupiś! Słuchaj. Czy, dajmy na to, jak kupisz bóty i chodzisz w tych bótach, może ktoś ci powiedzić, że one nie twoje!

— Ba! juści że nie. — A dla czego?

Chłop gębę otworzył, miarkując się jednak dodał — Ba! bo moje. — Głupiś! Nie dla tego, że twoje, ale dla tego, że w nich chodzisz, że ich używasz. — No, to co?

— A to, że jak do ogrodu wpędzisz trzodę, wszyscy będą gadać: kiedy wpuścił bydło, musiał mieć do tego prawo; potem znowu za kilka tygodni powtórzą: wpuścił raz, wpuścić może i więcej razy, a po miesiącu — powiedzą: Prebenda pasał trzodę na ogrodzie, więc używał ogrodu, zapewne jego on właścicielem.

— Acha! rozumiem.

— Rozumiesz, — więc za to kup wódki w dodatku.

III.

Przed karczmą mnóstwo stało wozów, i ludzi téż chmara cisnęła się do gródki szynkowéj. Gwar, krzyk, przepijanie do siebie wódką, czasami jakiś stuk niby pięści w stół, rozlegały się w izbie. Wielkie było zbiorowisko włościan, bo oto pan gminny, inaczéj wójt, miał sądzić sprawę, między Prebendą a Chutyłą o ogród, Walek zręcznie interes cały zagmatwał i dwóch sąsiadów z sobą straszliwie poróżnił. Dopóki Chutyło ustępował, Prebenda jakoś nie miał serca prześladować sąsiada, ale kiedy Wincenty sprzykrzywszy sobie wypędzanie trzody z ogrodu i ogradzanie co raz nowe, raz porwał się do Prebendy; tenże *podbechtany* przez Malca, prawdziwą *paździórą* stanął mu w gardle i wytoczył proces przed wójta.

Gminny oznaczył dzień niedzielny. Malec, widząc nie zbyt przychylne usposobienie gospodarzy, chciał drapnąć, ale mu niepozwolono, owszem stanąć musiał w karczmie i być obecnym sprawie.

— No, Wincenty, cóż powiecie na swoją obronę? rzekł gminny, kiedy Prebenda plótł trzy po trzy o palach z foluszą, o jakichś tam pretensyach do ogrodu Chutyły;

i przywoływał świadectwa kilku gospodarzy przekupionych przez Malca.

— Ha! niech się dzieje wola Boża, odrzekł Chutyło, — nie mam żadnych dowodów, tyle tylko, że ojciec mój, nawet dziad mój siedzieli na tym gruncie; przynajmniéj wszyscy gospodarze to samo utrzymują. Nie jestem człek piśmienny, w książkach nie czytam, ale lubię spokój i sumienie mam czyste. Mam dosyć, niech ogród zabierze sobie Prebenda, — krzywda ludzka zawsze bokiem wylezie.

— Ja nie chcę waszéj darowizny, zawołał Prebenda. Mój ogród i dosyć!

— No, to zabierz, rzekł Wincenty, ale pamiętaj, że na duszy grzech zaciągasz.

— E! pilnujcie lepiéj siebie.

Wójt pomyślał trochę i rzekł:

— Słuchajcie, moi kochani! I Prebenda i Chutyło mają racyą, bo jak jeden tak i drugi jednakie składają dowody. I co prawda, tak dobrze używał ogrodu Wicek jak i Prebenda; wreszcie ot, świadkowie nawet chcą przysięgać. Trudna zatem sprawa do rozstrzygnięcia; ale jeżeli zgodzicie się na sąd polubowny, to inaczéj zrobimy. Wszyscy, jak jesteśmy, pójdziemy na ogród: o którym mowa; Prebenda zaś, ponieważ utrzymuje, że jest prawym właścicielem — od strony łąki wejdzie po kładce, mówiąc głośno wyrazy:

„*Nie jak wilk do cudzéj owczarni, nie jak złodziéj do cudzego domu, ale jak swój do swojego ogrodu wchodzę, tak mi Panie Boże dopomóż.*“

Jeżeli śmiało przejdzie całą kładkę i nie zająknie się, jego słuszność, jego prawda. Cóż na to, gromada?

— Mądrze, bardzo mądrze, odezwali się wszyscy; Prebenda tylko jakoś schmurniał i drapal się za ucho; ale kiedy Walek coś mu szepnął, odrzekł opryskliwie. — Wielkie rzeczy, to pójdę, cóżby zaś człek nie miał przéjść kładki. Przejdę i pokaże temu . , . . że to moje a nie jego. —

Chłopstwo całą gromadą ruszyło sięz karczmy, wszystko oniemal wybiegło ze wsi patrzeć, jak Prebenda będzie przechodził przez kładkę. Mina przecież strasznie mu zrzedła i gdyby nie Malec, niezawodnie przyznałby słuszność Chutyle; nie chciał téż narażać się na pośmiewisko ludzkie.

Wójt stanął tuż przy kładce, która prowadziła z łąki do ogrodu Chutyły, a po za kładką Prebenda i nieodstępny Walek. Kładka była z deski położonéj nad głębokim a błotnistym rowem; ktoby zleciał, dobrze by się objadł *mady*.

— No! Prebęda, daléj; wchodź na kładkę i mów za mną: — Nie jak wilk do cudzéj owczarni — Nie jak wilk do cudzéj owczarni, rzekł, idąc zwolna Prebenda.

— Nie jak złodziej do cudzego domu —

— Nie jak zło . . dź . . . . iéj! ej!

Prebęda zachwiał się na nogach, chłopy w śmiech, a on też bach! w błoto po same uszy.

Jeszcze większy śmiech: biedne człeczysko gramoliło się w błocie, a co się podniesie, znowu głąbiéj zapada, — przecie z pomocą podbiegł Walek; obadwa unurzani dobrze wyleźli na brzeg.

— Widzisz, mój bracie, przemówił Wójt, jak mała rzecz, a jednakże sumienie nieczyste nie pozwoliło ci jéj uskutecznić. Kto nie słusznie cudzego pragnie, wnet się o Bożą mękę rozbije.

Prebenda zawstydzony przeprosił Wójta; z Chutyłą się po sąsiedzku ucałował i przyrzekł powrócić wszelkie straty; ale jakoś do radcy niegodziwego strawić nie mógł i jak się nie zabierze do Walka, daléj go okładać! Za jego przykładem poszła i gromada; nie-

długo ów pan warszawski zmiatał, gdzie pieprz rośnie.

Sąsiedzi przéprosili się i odtąd żyją w najlepszéj zgodzie.

Stach.

SIEROTKA.

Zaszumiały strojne liście w dębinie;
Małe chłopię błądzi w leśnéj gęstwinie.
Jedną rączką rwie jagódki soczyste,
Drugą rączką łzy ociera srebrzyste—
Srebrzyste!
Wiatr po lesie jakieś żale rostrąca;
A tam kuka kukułeczka tęskniąca.
Oj, zakukaj dobre wieści po lesie,
Niech wiatr żale sieroteczki rozniesie—
Rozniesie!
Bo sierotka z gęstwin idzie w gęstwiny,
I mateczki szuka swojéj jedynéj.
Twoich skrzydeł mu, ptaszyno, potrzeba:
Pójdzie szukać swéj mateczki do nieba—
Do nieba!
Idzie—idzie, mija białe polany,
I znów wchodzi w las tak ciemny, sośniany.
Za promykiem jasnym dąży do słońca,
A las przed nim, a las zanim bez końca—
Bez końca!
Aż pod sosną senną główkę złożyło,
I zmęczone złotą chwilkę prześniło:
Przyszła matka cała w bieli ubrana,
Tuli, pieści swoje chłopię, kochana —
Kochana!
Czemuż potem od sierotki pierzchnęła,
Gdy sierotka z mary złotéj ocknęła?..
I chłopiątko błądzi w ciemnéj gęstwinie;
A tak szumią strojne liście w dębinie.
Jedną rączką rwie jagódki soczyste,
Drugą rączką łzy ociera srebrzyste
Srebrzyste!

J. Gr.

WYJĄTKI Z PODRÓŻY PO OBCYCH KRAJACH.

Ciekawe szczegóły o dzikich mieszkańcach Środkowéj Afryki.

Kapitan angielski Burton, który z rozkazu swego rządu w roku 1856 odbywał podróż w głąb' Afryki od strony południowo - wschodniéj i przyglądał się ludom mieszkającym na około Wielkich Jezior w téj krainie, tak opisuje dzikich mieszkańców z nad pięknych brzegów niezmiernego jeziora Tanganyika, których główne miasto nazywa się Użiżi:

„Większa część mieszkańców okręgu Użiżi ma twarze ciemno-popielate, mocno oszpecone ospą, całe zaś ciało pokryte rozmaitemi wyrzutami i krostami podobnemi do świerzbu, a pochodzącémi ztąd, że główném ich pożywieniem jest popsuta ryba. Cały przepych tak mężczyzn jak i kobiet polega głównie na tém, iż mocno wysmarowują się oliwą. Rzadko się zdarza, by dozwalali urosnąć włosom; najczęściéj głowa jest zupełnie goła; ale najwyższą oznaką wykwintności jest układanie włosów w rozmaite czuby, pukle i sploty na samym wierzchołku głowy, wygolonéj dokoła starannie. Wąsów i faworytów niema ani śladu; wyrywają się one zupełnie szczypczykami. Kogo stać na kupienie czerwonéj ziemi i wapna, tak z kobiet jak i z mężczyzn, ten wymazuje sobie niemi twarz w rozmaite zygzaki, co ją czyni ohydną i zarazem śmieszną. Naczelnicy tego ludu stroją się w kosztowne materye wyłudzone u przechodzących tędy karawan, (to jest taborów podróżujących Arabów lub Europejczyków); kobiety noszą okrycia z czerwonego lub niebieskiego su-

kna. W niższych stanach ubiór składa się ze skóry koźléj, owczéj, lamparciéj, lub małpiéj, związanej na ramionach, ogon zaś i nogi puszczone są wolno. Kobiety niemajętne zamiast materyi noszą spódniczki ze skóry lub włókien drzewnych, które przybierają kolor żółty przez napuszczanie palmową oliwą; na tém zaś robią czarne cętki, naśladując skórę lamparta lub dzikiego kota.

Oprócz pasów, bransolet z żelaznego drótu i mosiądzu, okrywających ramiona i nogi, oprócz sznurów szklannych korali i pierścieni tak metalowych jak i ze słoniowéj kości, mieszkańcy Użiżi noszą rodzaj szkaplerzy z małych różowych muszli i całe sznury zębów wodnych koni (hipopotamów), które uderzająco odbijają od ich ciemnéj skóry.

Inną osobliwość ich stroju stanowią małe żelazne lub drewniane cęgi, zawieszone na szyi; użytek ich jest dziwaczny. Mieszkańcy brzegów jeziora Tanganaiki zawsze mają przy sobie skrzynkę z czarnéj ziemi, zawierającą rostarty na proch tytoń. Dla zażycia go, wlewają w ową skrzynkę nieco wody, potem szczyptę takiéj tabaki płynnéj wylawszy na rękę, wciągają w nos; wtedy cęgi stają się narzędziem niezbędnem dla ściskania nozdrzów, żeby z nich płynna tabaka nie uciekła; przy nich téż wiszą przez kilka minut.

Krajowcy ci są natury prawie ziemnowodnéj; doskonali z nich rybacy, pływacy i nienasyceni rybożercy. Trzeba ich widzieć zręcznie prujących wody jeziora w wązkich pirogach (łódkach), rzucających z nich dziryty na różne strony, płynących naprzód w tył, zawracających i pochylających się bez utracenia na jedną chwilę równowagi, z prędkością zadziwiającą.

Ludzie ci uchodzą za najniespokojniejszych pomiędzy mieszkańcami brzegów jeziora Tanganyiki rozległego na 25 mil; są oni tak jak i naczelnicy ich niesłychanie hardzi i chciwi; za wskazanie drogi nawet wymagają zapłaty; przyczém drwią sobie z cudzoziemców w oczy, i przedrzeźniają ich z oburzającém szyderstwem. O lada co wadzą się i biją z sobą.

Zachowuje się jednak między niémi niejaka ceremonialność: jak tylko wystąpi naczelnik, zaraz klaska w dłonie i wszyscy przytomni tak samo klaszczą. Kobiety kłaniają się sobie, zginając kolano aż do ziemi. Dwaj mężczyzni przy spotkaniu chwytają się za ramiona, potém zsuwają wzajemnie ręce i wykrzykują po swojemu: „Jak się masz?“ nakoniec łączą sobie dłonie i uderzają niemi kilkakrotnie. Dzieci kłócą się z sobą bezustannie, drapią i kąsają jak dzikie koty.

Nigdzie nie można widzieć tyle osób obojéj płci wałęsających się po wsi w stanie zupełnie napiłym i gadających od rzeczy; gdy ci ludzie są trzeźwi, oznacza to, że nie mają za co pić.

Pomimo rozległego handlu, jaki tu prowadzą z nimi cudzoziemcy od dwudziestu prawie lat, krajowcy nie postąpili ani na krok jeden w umiejętności wymiany towarów, nie znają najprostszych zasad kupna i sprzedaży, a kredytu wcale nie rozumieją. Targują się tylko o to, co im wpadnie w oczy, i podają cenę nie według wartości towaru, lecz według potrzeby albo raczéj według swéj chciwości na jaką rzecz. Oprócz słoniowéj kości, niewolników, bawełnianych wyrobów, spódnic z kory i palmowéj oliwy, znajdują się tu na rynkach małe dzwoneczki, bransolety i noże o podwójném ostrzu w pochwach. Mieszkańcy ci mają stałe pomieszkanie.

Plemię znowu murzyńskie zwane Uatuta, mieszkające na południowych brzegach pięknego jeziora Tanganyiki w południowo-wschodniéj Afryce, gardzi rolnictwem i nie ma stałych pomieszkań, lecz błąka się z miejsca na miejsce, obozuje pod drzewami, rozkładając po prostu maty i wyszukuje najżyzniéjszych pastwisk, by je spasać swémi trzodami. Samo ich imię napełnia przestrachem mieszkańców nadbrzeżnych; a żyjąc koczująco, tworzą hordę rabusiów. Mała tylko ich liczba nosi ubranie z włókien drzewnych i to tylko takie, jakiego wymaga najmniéj wybredna przyzwoitość. Dla wykonania napadu, łączą się oni w wielkie bandy, za ktoremi idą krowy, kobiety, dzieci i bagaże; krowy te na nogach mają kółka metalowe, po których są rozpoznawane przez właścicieli. Kobiety niosą broń swych mężów i jak powszechnie utrzymują, biorą udział w bitwach. Ci bandyci niezaprzeczonego męztwa, mają w pogardzie proce i strzały, walcząc tylko krótkiemi dzidami. Wojna ich polega na otoczeniu nieprzyjaciela; rospraszają się nader rzadko i w razie przegranéj, odstępują w porządku. Nie mają żadnych okrzyków wojennych i nie czynią najmniéjszéj wrzawy podczas bitwy; rozkazy podają się za pomocą gwiźnięcia, a w szeregach panuje zupełna cisza. Dowódzca, którego oznaką jest spiżowy stołek, zasiada na nim podczas bitwy; towarzyszy mu rada złożona z czterdziestu do pięćdziesięciu osób; władza jego jednak jest mocno ograniczona, jeżeli mamy wierzyć temu, że pokolenie to samorządzi.

Po bitwie nie troszczą się ani o rannych ani o zabitych, i nie zabierają z sobą żadnych trofeów. Gościnni, pomimo swéj rozbójniczéj natury, ze czcią przyjmują cudzoziemców, i zaraz zapytują: czy słyszał o ich czynach; odmowna odpowiedź stanowi powód do wojny względem pokolenia, do którego przybysz należy.“

RADY GOSPODARSKIE.

Roboty rolnika w m. Grudniu. Dopóki ziemia nie skamienieje od mrozu, można jeszcze korzystnie odbywać w polu przygotowawcze roboty, bo późna zima wróży zazwyczaj późną wiosnę i w takim razie roboty dokonywane w zimie bardzo się przydadzą. Szlam, ziemię i margiel teraz trzeba wywozić, a póki łagodne powietre, dobrze jest łąki nawodnić. Młocka powinna iść bez przerwy.

Dla bydła daje się teraz i paszę gotowaną, która bardzo wpływa na powiększanie wydatku mleka i mierzwy. Obory zaopatrywać należy od zimna, a przy łagodnéj pogodzie, wyganiać na podwórze krowy, wyjąwszy bliskie ocielenia, a przez ten czas obory przewietrzać. Cielęta należy odstawiać; owcom daje się siano łączne, koniczynę, mięszankę wikową i suszoną słomę owsianą. Napój dawać im trzeba zawsze po pierwszem nakarmieniu.

Kwiaty, jak: jaskry i zawilce, siać można, jeśli ziemia jeszcze miękka, i zaraz pokrywać je należy liściem, igłami lub korą garbarską. W ogóle przybywa teraz zatrudnienia w cieplarniach i oranżerjach. Co do *warzywa*, to niektóre rośliny kuchenne dadzą się siać jeszcze, jeśli ziemia nie bardzo stwardniała. Składy uprawnéj ziemi należy poprzewracać i nowe urządzać. Jeśli ziemia w ogrodzie nie nadto twarda, to można ją przekopywać, spulchniać, ale nie mierzwić. *Krzewy owocowe* jak: agrest, porzeczki i truskawki można jeszcze przesadzać, gdy ziemia jest jeszcze nieco miękka. *Drze-*

wa owocowe okopywać i mierzwą obsypywać przy korzeniach należy, jeśli się tego w m. Listopadzie nie zrobiło. Młodym, przed dwoma lub trzema laty uszlachetnionym drzewkom, jeśli jeszcze są dość małe, odejmują się korony, aby lepiéj wyrosły; a słabym drzewom daje się nowe obwiązania, jeśli dawne nie dość mocne trzymają.

Słoma niezapalna. Umoczona słoma w wapnie rozmąconém w wodzie, nie zajmie się od płomienia. Ten sam skutek będzie, gdy się ją namoczy w zwyczajnym popiołowym ługu. Wiadomość ta zasługuje na uwagę gospodarzy.

Użyteczność kretów. Pewien angielski gospodarz następujące czynił doświadczenie z kretami. Na kawałku pola zasianym rajgrasem i koniczyną, spostrzegł zaraz z wiosny, jak wiele kretów tu i owdzie ziemię podnosiły. Nie zabijał on ich ani odstraszał, ale w miarę, jak ziemię podnosiły, to ją napowrót równał. Skutek był taki, że w tych miejscach, gdzie najwięcéj krety ryły, zbiór owych roślin był najpiękniéjszy, a krety same przez się po pewnym czasie wyniosły się. Skutek ten objaśnić sobie można przez to, że krety ryjąc ziemię, wybrały z niéj wszystkie owady, robaki dla młodych roślinek, a głównie dla ich korzonków szkodliwe.

RÓŻNE-RÓŻNOŚCI.

U pewnych państwa na obiad piekła się gęś; ponętny jéj zapach tak dalece opanował kuchcika, iż urwał udko i zjadł je bardzo smacznie. Gdy postawiono gęś na stół, pan domu spostrzegł, że ta jedną ma tylko nogę; pyta się więc kuchcika, co się stało z drugą? — Proszę pana, odpowie zapytany, ta gęś, tak jak i wszystkie gęsi na świecie miała tylko jedną nogę. — Jakto jedną? rzekł pan. — A tak, proszę pana, ja przekonam pana po obiedzie, że żadna gęś dwóch nóg nie ma.—Dobrze, odrzekł pan z uśmiechem, ale pamiętaj, że cię ukarzę za kłamstwo.

Poszli więc po obiedzie na podwórze, gdzie, że to było w zimie, wszystkie gęsi stały na jednéj nodze, bo drugą każda z nich utuliła, jakto zwykle, dla ogrzania, pod skrzydło.—Proszę pana, czy ja kłamię?—Zobaczysz, czy drugiéj nogi nie pokażą, jak swisnę na nie, rzekł pan. I świsnął, a gęsi spłoszone stanęły wszystkie na dwóch nogach. — No, cóż hultaju czy nie po dwie nogi mają?

— A! proszę pana, wykrzyknął niezmięszany kuchcik, gdybyś pan był świsnął i na gęś przy obiedzie, toby jéj téż druga noga wyleciała!

Na *popisie rocznym* w szkółce elementarnéj w obec kilku wyższych przełożonych zapytał się nauczyciel jednego chłopczyka:

— Które zwierzę jest najrozumniejsze?

Zapytany długo się silił na odpowiedź; nareszcie nauczyciel, chcąc go naprowadzić na tę myśl, że człowiek jest najrozumiejszém stworzeniem, wskazywał nieznacznie ręką na siebie. Nieprzytomny chłopczyk ucieszony tą pomocą, wykrzyknął: „Nasz pan professor jest najrozumniejszém stworzeniem na świecie.“

Zagadka.

1. Która kobieta była najlepszą gospodynią?

Żona Lota, bo z siebie samej zrobiła zapas soli na całe życie.

2. W jaką beczkę nie można nalać piwa?

W pełną.

3. Dla czego niektórzy ludzie nie są tak głupiemi, jak się wydają?

Bo są jeszcze głupszymi.

Znaczenie poprzedniéj Zagadki **Cygaro**.

Redaktor i Wydawca **Józef Grajnert**.—w drukarni I. Krokoszyńskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj